

Teksty Drugie 2001, 6, s. 4-7



Tropami tropów

Grzegorz Grochowski

Tropami tropów

Mogłoby się здаwać, że pojęcie stylu odsyła do zagadnień szczególnie pociągających dla literaturoznawcy. Określony sposób pisania stanowi niezbywalną właściwość każdego tekstu, co pozwala zarówno odnosić dany utwór do całego uniwersum mowy i tworzyć szerokie uogólnienia, jak też docierać do konkretnego, delektować się osobliwością danego sposobu wystąpienia. Za najbardziej uchwytny wyznacznik stylu uważano zaś przez wieki wszelkie odchylenia, anomalie i dewiacje, którym w mowie poetyckiej przyznawano status słów i wyrażeń „wyszukanych”, „niedziennych”. Stylistyka, a teoria tropów przede wszystkim, winny więc należeć do najpopularniejszych dyscyplin literaturoznawczych. W okresie ogólnej dezorientacji co do pożądanego kształtu humanistyki badanie mowy figuratywnej mogłoby dawać kojące poczucie bezpieczeństwa, płynące z oparcia na twardym gruncie językowej empirii. Dzieje się jednak inaczej. Filologiczna analiza przegrywa w konkurencji z pracami o intertekstualności, podmiocie, płci, literackiej komunikacji (choć to już coraz rzadziej) czy metafizyce obecności. Stylistyka nie stała się też obszarem efektywnych i widowiskowych kampanii likwidatorskich – takich, jakie były choćby udziałem współczesnej genologii. Losem refleksji tropologicznej bywa dziś raczej milczące zaniechanie. Pojawiają się nawet opinie, że stylistyka wkrótce zostanie (lub wręcz została) wchłonięta przez ogólną teorię tekstu i pragmatykę lingwistyczną. Nawet renesans retoryki przejawia się raczej w ożywieniu dociekań nad strukturą argumentacji, odgrywaniem ról społecznych i poetyką odbioru, a bynajmniej nie przyczynia się do spektakularnego rozwoju badań nad sferą lexis.

W czym tkwią przyczyny takiego stanu rzeczy? Powód pierwszy ma – jak się zdaje – charakter głównie taktyczny: w modzie są dziś raczej zjawiska globalne, otwierające szersze perspektywy i pozwalające na formułowanie błyskotliwych uogólnień. Stylistyka wymaga natomiast mozolnej i żmudnej dłubaniny, mikroskopowej dokładności oraz skupienia uwagi na detalach i niuansach. Tropu sytuują się na ogół „poniżej” zwyczajowego poziomu postrzegalności, zmuszają nas do zajęcia się technicznym wyposażeniem tekstu, opóźniając dotarcie do Spraw Ważnych i Doniosłych. Poświęcenie uwagi metaplazmom, metagramom, metabolom utrudnia więc włączenie się w główny nurt debat ekscytujących dzisiaj światek humanistów.

Oprócz motywu koniunkturalnego można też jednak wskazać powód głębszy i bardziej zasadniczy. Jest nim brak adekwatnego języka, który by pozwalał opisywać styl w sposób odpowiadający wymogom współczesnej wrażliwości. Dwa tradycyjne nurty w myśleniu o mowie figuratywnej w równej mierze – choć z różnych przyczyn – przestały dawać zadowalające rezultaty poznawcze. Niezbyt pociągające wydaje się myślenie elokucyjne, które ujmuje mowę poetycką jako język ozdobny (ornatus) a tropy postrzega przez pryzmat – by sięgnąć po formułę Arystotelesa – „jasności, wdzięku i wytworności stylu”. Nie do przyjęcia dla dzisiejszych czytelników i znawców są cztery filary takiej koncepcji: 1) traktowanie tropów jako ornamentów, jako ubocznych i nieobciążonych semantycznie sposobów prezentacji; 2) związane z tym przekonanie o przekładalności wyrażen figuratywnych na język dosłowny; 3) normatywizm ograniczający swobodę twórców i czytelników przez wprowadzenie zasady stosowności, regulującej dopuszczalny zasięg poszczególnych środków; 4) utożsamienie myślenia o stylu z ciągłym klasyfikowaniem figur retorycznych, z pomnażaniem zasobów terminologicznych i tworzeniem kolejnych, coraz bardziej precyzyjnych schematów taksonomicznych.

Analiza stylistyczna, oparta na wskazanych założeniach, polegała na ogół – jak dobrze wiadomo – na wysuptykiwaniu poszczególnych tropów z ich tekstowego uwikłania, wписywaniu ich w ustalone apriorycznie rubryki i wygłaszaniu ogólnikowych formuł o plastyczności i niezwykłości figuratywnych przedstawień. Tymczasem współczesna poezja (czy też w ogóle literatura) na ogół ucieka od „wdzięku” i estetyzującej ozdobności. Kulturalnemu odbiorcy wręcz nie wypada czytać literatury dwutorowo, z podziałem na odczytywanie sensów wpisanych w dzieło i na kontemplowanie estetycznych walorów szaty słownej. O ile dane formy językowe mają być tylko zewnętrzną ozdobą i o ile bez większej straty dają się przełożyć, o tyle są po prostu zbędne. Zasada decorum pozostaje w rażącej sprzeczności ze współczesnym permissywiżmem – gdyby odnieść ją do dzisiejszej kultury, to przypadki jej przestrzegania mogłyby okazać się na tyle rzadkie, że to właśnie one zyskałyby status dewiacji (kto dziś się zająknie o stylu „dobrym”, „pięknym” czy – nie daj Boże – „poprawnym”?). I wreszcie z duchem epoki nie współgra trącające pedanterią upodobanie do segregowa-

Wstęp

nia przesunięć znaczeniowych, ich etykietowania oraz gromadzenia w opastych tezaurusach i kompendiach. Wysiłkom tego rodzaju towarzyszy na ogół – jak to swego czasu ujął Jean Cohen – „straszliwe widmo maszyny, automatycznej produkcji poematów na podstawie tabeli figur z kart perforowanych”.

Można by więc z kolei mniemać, że bliższe sercu dzisiejszego badacza okaże się romantyczne pojmowanie stylu i powikańska koncepcja tropów. I tak też się sprawy – w pewnej mierze – mają. Po myślicielach tego nurtu dziedziczymy niechęć do ujęć atomizujących materię języka oraz skłonność do wiązania stylu z całościową formą wypowiedzi i szukania figuratywności we wszelkich postaciach mowy, a wreszcie postrzeganie tropów jako swoistych katalizatorów wyzwalających wyobrażeniową energię odbiorcy. Racje serca często jednak kłócą się z racjami rozumu, a bliskość zasadniczych przekonań estetycznych słabo przekłada się na praktyczną operatywność wprowadzonych z nich kategorii. Trzeba więc przyznać, że takie postrzeganie zjawisk stylistycznych lepiej wyraża się w błyskotliwych aforyzmach niż w konkretnych rezultatach poznawczych. W rezultacie integralno-holistyczna koncepcja romantyczna oddziałuje na ogólny kierunek myślenia, ale nie znajduje większych zastosowań w badawczej praktyce.

Wzgardziwszy pedanterią, nie ufając natchnieniu, co ma począć współczesny badacz stylu? Najpopularniejszą chyba odpowiedzią jest dziś przesunięcie uwagi na obszary leżące daleko od głównego nurtu tropologii. Już nie opisanie samych faktów językowych staje się głównym zadaniem, lecz tropienie uchwyconej w nich zewnętrznej rzeczywistości. W ruchu tym – zresztą zgodnym z ogólną tendencją współczesnej humanistyki do przekraczania granic fundujących autonomię poszczególnych dziedzin wiedzy – daloby się wyodrębnić dwie główne tendencje. Pierwszą z nich można by określić jako antropologizację stylistyki, a polegałaby ona na badaniu poznawczych, kulturowych czy filozoficznych uwarunkowań określonych form językowych. Sztandarowym przykładem takiego ujęcia może być znana praca Jakobsena, który metaforę i metonimię zestawiał z odmianami zaburzeń mowy i ze sposobami tworzenia całych odmian wypowiedzi – poezji i prozy. Przede wszystkim jednak za orędownika podobnych badań należy uznać Bachtina, który niejednokrotnie wyrażał przekonanie o związku między świadomością a językiem, o wpływie mowy na myślenie, i który patronuje ewolucji od językoznawstwa systemowego do lingwistyki tekstu, która siłą rzeczy dowartościowuje wszystko to, co idiomatyczne, subiektywne, pozakodowe. W tym nurcie mieszczą się też inne szkice prezentowane w niniejszym numerze – porównanie jest rozpatrywane jako forma myśli, w aspekcie semiotycznym, a nie artystycznym; w elipsie dostrzega się głównie sposób poznawczego ujmowania rzeczywistości, narzędzie przywoływania bytów możliwych; i wreszcie językowe zabiegi Irzykowskiego – neologizmy, paradoksy, dziwaczne metafory – są interpretowane jako broń w walce ze stereotypami i z rutynowym postrzeganiem świata.

Drugi kierunek – nazwijmy go tropologią dyskursu – to poszerzanie zakresu poszczególnych terminów i problematyzowanie za ich pomocą zjawisk sponad poziomu języka. Dla wykazania pożytku z podobnych poszukiwań, wystarczy wspomnieć choćby rozważania Sławińskiego o wielkich figurach narracyjnych czy też Nycza

Grochowski Tropami tropów

o tropicznych obrazach podmiotu. Szczególną karierę robią zaś wszelkie kategorie retoryczne we współczesnej filozofii poznania historycznego. Metafora, metonimia, synekdocha to – dla Ricoeura czy Haydena White'a – nie tylko popularyzatorskie ozdobniki, ale fundamenty wyobraźni dziejowej, podstawowe formy ujmowania minionych zdarzeń. Dodajmy, że myślenie tego rodzaju mogłoby też dostarczyć pewnych impulsów refleksji genologicznej – liczne dokonania współczesnej literatury dałyby się opisać jako gatunkowe oksymorony, solecyzmy czy syllepsy. W jednym z publikowanych w tym numerze szkiców pojawia się na przykład propozycja uznania „opowieści metanoicznej” za zjawisko znamienne dla kultury XX wieku. Kategoria correctio zyskuje jeszcze szerszy wymiar i zaczyna charakteryzować nowy styl uprawiania debaty filozoficznej, by w końcu urosnąć do rangi „figury współczesności”. Podobną postawę przyjmuje autorka innego artykułu, która sugeruje możliwość uprawiania historii literatury poprzez pryzmat tropów i figur traktowanych jako „ekrany” ogólnych przekonań twórców i epok.

We wszystkich tych wypadkach mniej lub bardziej odchodzi się od używania pojęć w ich utartych znaczeniach i typowych związkach, narusza się zwyczajowe normy łączliwości, bada się pojemność zastanych terminów i poddaje próbie ich zdolności adaptacyjne. Wycieczki takie niosą ze sobą pewną dozę ryzyka, ale zarazem dają nadzieję ujrzenia znanych – czy wręcz „opatrzonych” – zjawisk w nowym świetle. Nie trudno zauważyć, że kategorie poznawcze zaczynają tu oddziaływać w podobny sposób jak tropy, a nomenklatura retoryczna sama staje się kolejnym z figuratywnych zastosowań języka.

Grzegorz GROCHOWSKI